
(...) Z dużym zainteresowaniem przyglądam się takim pisarzom, którzy istnieją dla odbiorców o tyle, o ile chcą: niegdyś na przykład Pynchon czy dziś Andrzej Bart. Ale oni używają tych samych narzędzi tylko w odwrotny sposób, by tak rzec: istnieją przez własne nieistnienie. Współcześnie nie wystarczy, że pisarz pisze książki. Musi wlec swoje ciało na koniec świata i wystawiać na pokaz rany w boku, żeby publika mogła włożyć w nie palce i sprawdzić, czy te rany są prawdziwe, czy nie. Wiąże się to z faktem, że aby kręcić się światowy interes, aby rozwijała się kultura i cywilizacja, musimy się coraz dalej i coraz szybciej przemieszczać – mówi Andrzej Stasiuk w wywiadzie udzielonym Jagodzie Wierzejskiej dla „Nowych Książek”, numer 2/2010.

– Niewykluczone, iż mamy do czynienia z największą w dziejach wędrówką ludów. Samoloty krążą nad lotniskami, bo nie mają gdzie wylądować, tutejsze chłopaki wstają rano, jadą do Krakowa, żeby złapać tani lot do Dublina, całe Południe jest w drodze, bo próbuje dorwać się do kasy. Przygody pisarza to tylko część tej wielkiej podróży. Być może jednak kiedyś spotkania autorskie zaczną się odbywać w sferze internetowej. Pisarze będą po prostu wysyłać na niezliczone telekonferencje swoje hologramy – fantomy generowane w czterech ścianach”. (...)

„Prowincję kocham i nienawidzę. Kocham za klimat, za chwile leniwie płynące, za spokój, za »bezkorkowość« ulic, za spotkanie znajomych bez wcześniejszego umówienia, za wolne popołudnia i niedzielną nudę, za »knajpę, kościół, widok z mostu i ten bruk – ideał nie tknął go« (Jacek Cygan).

Prowincji nienawidzę: za małość ludzi, za mało ważne problemy urastające do rangi życia i śmierci, za mentalność, za sąsiedzkie wścibstwo, za plotki, za układy, układziki, za głupich polityków lokalnych, za brak perspektywicznego myślenia, marny dostęp do kultury, za ohydne pekaesy, którymi trzeba dojeżdżać, za biedę, bezrobocie i brak perspektyw – pisze Jarosław Wasik w „Prowincji. Opolskim Kwartalniku Kulturalnym”, numer 2-4/2009.

– Pochodzę z prowincji, ale dawno z niej wyjechałem i nie żałuję tego ruchu. Nigdy nie chciałbym mieszkać na prowincji, nie wyobrażam sobie tego zupełnie. Podsumowując: jednak bardziej jej nienawidzę niż kocham”.

(...) „Co oznacza wybór Janukowycza na prezydenta? Wszyscy podkreślają, że dziś ma inne znaczenie, niż gdyby wygrał on pięć lat temu. Sztab ludzi starał się, aby był on bardziej proeuropejski i okrzyszany. Jednak piętna wyborczych fałszerstw sprzed pięciu lat, które na nim ciąży, nie da się zmyć. A lapsusy, z których śmieje się cały kraj, wciąż mu się zdarzają – piszą Andrzej Brzeziński i Małgorzata Nocuń w „Tygodniku Powszechnym”, numer 7/2010.

– Podczas jednej z poprzednich kampanii my-

lił nazwisko poetki Anny Achmatowej, nazywając ją Achmetową – od nazwiska sponsora Partii Regionów, Rinata Achmetowa. Teraz uznał Antona Czechowa za także ukraińskiego poetę. Ukraińskie feministki przypominały podczas kampanii, że ciąży na nim oskarżenie o gwałt i kradzież. Przeszłość Wiktora Fiodorowicza jest po prostu mroczna, ma ksywę »Bandukowicz«. Z drugiej strony, Ukraińcy pamiętają, że za jego premierowania Ukraina cieszyła się najszybszym wzrostem PKB, a kurs hrywny był znacznie lepszy”. (...)

„Zima ledwie przeciągnęła białym paznokciem od Bugu po Odrę, a kraj nasz nieszczęśliwy padł na kolana i ogłosił kapitulację. Zapomniał o swoich korzeniach, które przed tysiącami lat wyrosły z lodowca. Ubzdurał sobie, że może zostać śródziemnomorską wyspą na wschodzie Europy. W wielu miejscach raptem zabrakło prądu. Popołudniami puchate połacie RP ginęły w mrokach średniowiecza. Nie pomagały gorączkowe śledztwa CBA, ponieważ kto, jak kto, ale zima nie bierze łapówek. Świece w wielkim stylu wróciły do łask – pisze Mariusz Sienkiewicz w „Polityce”, numer 8/2010.

– No i dramat gotowy! Pojawiło się fundamentalne pytanie: co robić?! Co robić, poza dłubaniem w nosie, przez długie godziny zimowych wieczorów, gdy światła brak i nie te czasy, żeby po peerelowsku podnosić demograficzne wskaźniki. Telewizor nie działa, radio nie gada, komputer i komórką milczą jak zakłete. Ze świecą szukać choćby takiej Anastazji Pietrownej z »Martwych dusz«, która litościwie podrapałaby w pięty, przywołując sen. Wraz z nadejściem ciemności nuda nachodzi domostwa, a w sercach mieszkańców zagnieżdża się upiór Ob-łomow. Nuda jest największą cywilizacyjną chorobą, gorszą niż trąd. Co robić więc?... Co robić?!...”. (...)

„Etos inteligentkiego picia w PRL był miejski, knajpiany i restauracyjny. A miasta powojenne biedne, zrujnowane, pełne ludzi napływowych. Warszawka mówiła o nich Hunowie – przyjeżdżali budować socjalizm, przywozili wiejski obyczaj. Przejmowali miasto dla siebie, dla gwary pomieszaną z nowomową. Marek Nowakowski, pisarz, rocznik 1935, mówi: »Miasto nie dawało miejsc ciepłych, dostępnych dla każdego. Przerwane zostały więzi ulic i kamienic. Knajpy umierały, rozwijała się gastronomia masowa. A jedyne przybytki ludzkie, ale też nieludzkie, to były budki z piwem, gdzie piło się na stojaka« – pisze Marcin Kołodziejczyk w „Polityce” (numer 9/2010).

– Na szczęście były zaplecza znane wta-jemniczonemu. Ludzie, *genius loci* i wódka jak przed wojną. Bywała młoda bohema, pić, bić się i dyskutować. Z czasem zbłądzali także Hunowie. Spośród wszystkich idei socjalistycznych mających łączyć stany wódka działała najlepiej. A dlaczego wódka? Prof. Wojciech Burszta, kulturoznawca, antropolog kultury z SWPS, rocznik 1957, wyjaśnia: »Wódka zawsze była trunkiem narodowym – prawdziwi mężczyźni prowadzili

prawdziwe dyskusje przy wódce. Piwa brak albo podłe, o winie nie wspomnę. Picie wódki było także odreagowaniem magnackości przedwojennej kultury polskiej. Brataniem się z robotnikiem i menelem. Od klasowości ku równości«.

Marek Nowakowski pił w Paryżu z Zygmuntem Hertzem, współzałożycielem paryskiej »Kultury«, calvados. W Paryżu tak wypada, bo u Remarque’a w »Łuku Triumfalnym« piją calvados. W Ameryce Nowakowski pił burbona kuku-rydzianego, bo to się leje w książkach Williama Faulknera. Ale oba trunki przywiezione do Warszawy są truciznami. A wódka wchodzi. Więc Marek Nowakowski przypuszcza: »Klimat i szerokość geograficzna. Obyczaj i historia. To by przemawiało za wódką. Jesteśmy z kultury żytnio-kartoflanej“.

„»Prowincja to nie miejsce geograficzne, ale stan umysłu i ducha« – tym stwierdzeniem skutecznie zagłuszyli niepokoje i poczucie (jednak) dyskomfortu mieszkańcy miast i miasteczek żadną miarą niekwalifikujących się do elitarnego grona metropolii. Ale rzeczywiście, przez pierwszą wolnościową dekadę lat 90. prowincja (mierzona liczbą mieszkańców) skutecznie wybijała się na niepodległość śmiałych przedsięwzięć kulturowych – pisze Małgorzata Kołowska w „Miesięczniku” (numer 2/2010).

– Warszawa, Kraków czy Łódź straciły status »centrali« skupiających to, co najważniejsze czy najciekawsze w kraju. Coraz częściej dowiadywa-liśmy się, że warto pojechać nie na stołeczną premierę teatralną, ale do takich, na przykład, Gardzienic, że ważniejszy i ciekawszy, a na pewno mniej pretensjonalny od gdańskiego (czy raczej gdyńskiego) Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych jest toruński u zarania „Camerimage” czy, niegdyś cieszyński, festiwal »Era Nowe Horyzonty«. Aby zobaczyć, co nowego i interesującego dzieje się w teatrze, trzeba było być na poznańskiej Malcie czy szczecińskim »Kontrapunkcie«. Także w obszarze sztuk wizualnych (bo czy są one jeszcze piękne – może już tylko takowe bywają!) interesujące inicjatywy zaczęły pojawiać się poza dotychczasowymi centrami. Do dziś z dumą wspominam, jak to w reaktywowanym na początku lat 90. telewizyjnym »Pegazie«, który oparty był na rozmowie ludzi obeznanym z kulturą, wymieniono Koszalin i działającą tu wówczas galerię »Moje Archiwum« jako przykład przełamywania mitu prowincji, przenoszenia siły ciężkości (czytaj: ważności) kulturowych zdarzeń z wielkich miast do niewielkich, ale mających twórczą potencję, środowisk. O ile Warszawka zachłystywała się snobistycznymi »eventami«, tak zwana prowincja zapraszała do galerii, alternatywnych teatrów, na offowe estrady, do poważnej i odpowiedzialnej dysputy o roli sztuki, o jej miejscu w naszym życiu, o istocie tego, co Anglosasi określają jako »human being«. Niestety, z języka angielskiego wiele przeniknęło do współczesnej polszczyzny, nie czyniąc jej jednak ani lepszą, ani głębszą, ani bardziej precyzyjną, ani też nie czyniąc z nas poliglotów.

[ad]

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: prof. Bazyl Biłkożowicz, Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Joanna Grzanka, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, Stefan Pastuszewski, prof. Maria Szyszkowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bacherzyn 13, tel. (043) 677-41-56.